

## Wojciech Stanisławski: Na spacerunku, w tiarze

„Dziennik...” Jerzego Andrzejewskiego jest najmocniejszym chyba w literaturze polskiej świadectwem końca nie tyle może męźnej, co sztubackiej iluzji: że można postanowić sobie, iż zostanie się Wielkim Pisarzem – i nim zostać.

To rzeczywiście późny dar: jak zauważa Anna Synoradzka, edytorka „Zapisków prywatnych 1943-1982”, w ostatnich latach zdążyły się ukazać dzienniki współczesnych (i w pewien sposób współbrzmiących pisarzowi) twórców: Gombrowicza, Mycielskiego, Wajdy, Mrożka. A teraz (wreszcie?) on, pyszny i zakłopotany: Jerzy Andrzejewski.

Rzetelnie odtworzona przez Synoradzką historia tych notatek dziennikowych jest bardzo złożona: zachowała się, choć nieciągle, część zapisków z lat 1943-1982, zaginęł najpewniej nieodwracalnie dziennik z lat młodości i z początku wojny. Dorobek czterdziestu lat pozostawał, rozproszony, częściowo w rękach córki pisarza, częściowo małżeństwa Ireny Szymańskiej i Ryszarda Matuszewskiego lub w zbiorach Muzeum Literatury. Scalony został przez Annę Synoradzką, która podkreśla jego fragmentaryczność: to zbiór nieciągły (szczególnie bolesna dla badaczy jest nieobecność materiałów z lat 1950-55) i bardzo niejednorodny: obok rozbudowanych, czasem wielostronicowych „zapisów dnia” nieraz przez całe miesiące mamy do

czynienia z najbardziej postnymi, jakie można sobie wyobrazić, zapiskami kalendarzowymi: nazwisko spotkanego znajomego, stan pogody, drinki i inne uciechy; nieraz i to nie.

### **Zapraszamy! Teologia Polityczna na Targach Książki Historycznej**

Różne jest nowatorstwo tych materiałów, dyskusyjna ocena ich oryginalności: pisarz włączał fragmenty zapisków dziennikowych do tworzonych w tym czasie książek – czasem lekko skurtyzowane dla uniknięcia ingerencji cenzury i zachowania prywatności bohaterów, jak w „Apelacji”, czasem niemal wierne – jak do niektórych wydań „Popiołu i diamentu”. Zwodniczy jest status zapisków dziennikowych w „Miazdze” – jak się okazuje, stworzonych na potrzeby powieści, zupełnie odrębnych od powstających równoległe „normalnych” not, obecnych w tym tomie. Również felietony, publikowane w latach 1972-81 na łamach tygodnika „Literatura”, wydane później jako druk odrębny, a pisane w formule ‘diariusza’, nie mają nic wspólnego z kronikarskimi zapiskami pisarza. Zwraca wreszcie Anna Synoradzka uwagę na praktykę „epistolografii dziennikowej”, pisania przez Andrzejewskiego listów do indywidualnych adresatów w postaci ‘notacji dziennych’, zwykle kosztem regularnych wpisów w dzienniku.

Edytorka zdołała zestawić treść kilkudziesięciu notesów, kalendarzy i maszynopisów, skolacjonować opublikowane wcześniej fragmenty (jako pierwszy bodaj, w połowie lat 90., ukazał się „Zeszyt Marcina”, dziennik z lat 1943-45) i opracować całość. To trud godny wszelkiego uznania (indeks nazwisk liczy dwadzieścia kilka stron, liczba przypisów sięga monstrualnych trzy i pół tysiąca), nawet, jeśli spierałbym się o

odczytanie kilku nazwisk lub o decyzję, by pozostawić *in extenso* fragmenty ukazujące mocno prywatne meandry biografii osób żyjących i czynnych pisarsko.

Oczywiście, tych osiemset gęsto zadrukowanych stron to kipiel wydarzeń, spostrzeżeń i plotek; realistyczny zapis inteligenckiego życia pod okupacją i w dniach Powstania Warszawskiego, odwilżowych lat pięćdziesiątych, hiperrealistyczny wręcz – „bananowych”, gierkowskich. Obfitość detali, ukazująca pierwowzory wątków, postaci, problemów w powieściach, moment ich pojawienia się po raz pierwszy, wariantów tytułów czy twistów fabuły: będzie to wymarzony materiał do dociekań „genologicznych” wielu roczników filologów.

Do tego – Kronika premier teatralnych i filmowych, koncertów, rautów w ambasadach i *jour fix*ów na Mokotowie, selektywna bibliografia najciekawszych tytułów, ukazujących się w Polsce w latach 50. i 60. – odczytanie Andrzejewskiego i jego chłonność mogą budzić tylko szacunek. Polityka? Niewiele. Znamy już, i z historii literatury, i ze szkicu Andrzeja Horubały, połowiczność i uniki autora „Popiołu i diamentu”, który palił, ale się nie zaciągał, „stracił wiarę, ale nie chciał stracić gotówki”, legitymację partyjną oddał, ale wyglądał wznowień „Popiołu..”. Znamy, więc nie będziemy rozczarowani: Andrzejewski nie był *homo politicus*, wkraczał w tę sferę na krótko, najpierw, być może, z nadziei na nową wiarę, później już tylko traktując ją jako jedno ze źródeł lub protez uznania. Rewelacji politycznych więc nie ma: kilka plotek o puławianach, kilka mocnych, zbyt mocnych słów o „kościach spalonych lub rozpadających się powoli wśród piasków pustyni i szklistych mrozów pustych tajg” (22 czerwca 1960), trochę dylematów poprzedzających rozstanie z legitymacją („Czy nie uległem pokusie zaszczytów i godności? Myślę, że tak. Poseł, naczelny redaktor,

wiceprezes Związku Literatów, członek prezydium Rady Kultury i Sztuki, odznaczony Sztandarem Pracy I kl. – czuję się tymi wszystkimi etykietkami skrępowany i obezwładniony” (25 lutego 1954).

Co innego – życie towarzyskie, tak bujne w latach 50. i 60., potem cichnące czy płynące coraz węższymi, częściowo ukrytymi nurtami ze względu na wiek, choroby, nałogi, ale też podziały środowiskowe i polityczne. To najbardziej atrakcyjna i w pierwszych chwili rzucająca się w oczy warstwa „Dziennika...”, najbardziej podatna będzie na uszczypliwe czy złośliwe komentarze, tak pocieszny jest sosik pychy, tak irytujący samozachwyty środowiska, szczególnie, gdy zderzyć je z datami rocznymi zapisków, niekoniecznie fortunnymi dla większości rodaków Andrzejewskiego. A tu? „Na obiedzie u Janków Kottów. Żółkiewscy, Mayenowie, Wanda Wertenstein z Jerzykiem. Koło czwartej zaczęło się schodzić mnóstwo gości: Staszewscy, Halina Mikołajska z Marianem, Kulowie, Bogdan Korzeniewski”, czytamy pod datą 25 grudnia 1954, żałując jeszcze mocniej niż zwykle, że Tyrmand zakończył swój dziennik już w marcu tamtego roku: ileż radości płynęłoby z zestawienia not dziennych tych dwóch autorów!

Można jednak próbować podobnych zabiegów, zestawiając kolejne noty („Przed południem chwilę w kawiarni «Czytelnika» z Ireną. Potem zaraz cały tłum: Ważyk, Julek Żuławski, Henio Krzeczkowski, Stefczyk”, 2 września 1958), z tyrmandowym „Życiem towarzyskim i uczuciowym”, albo i z „Notesami” Wajdy („Wieczorem z Marysią u Ludwika Zimme[re]ra (Mietek Rakowski, Mandalianowie, Kijowscy, Nowakowscy, Jackowski, Paweł Dzieduszycki”, 22 marca 1970). Można uśmiechać się nad przedwczesnymi nieco, biorąc pod uwagę kolejne dwie dekady życia autora, deklaracjami („w dwóch malutkich pokojach ścisk nieprawdopodobny, gorąco, duszno (...) Wtłoczony w kąty tapczanu

pomiędzy Karolcią Beylin i Zabłudowską (...) Kottowie, Staszewscy, (...) Małcużyńscy, Paweł Beylin, Pawełek Hertz (...) wypłem łyk czerwonego wina i zaraz po dziesiątej wymknąłem się ukradkiem z tego męczącego ścisku i tumultu. Nie, to nie dla mnie już podobny styl zabawy”, 5 listopada 1955).

Chociaż, oczywiście, jest tu, prócz smaczków, mnóstwo danych: jeśli Instytut Mikołowski wyda „Dziennik...” w wersji cyfrowej, warto będzie poprosić któryś z czatów GPT o przeczesanie tych zapisków w trybie *digital harvesting*, o wypatrzenie prawidłowości orbit: jak wieczory w Bristolu z Zygmuntem Mycielskim przekładają się na następujące po nich nazajutrz spacery Nowym Miastem, ilu lunchów z Wajdą potrzeba do podpisania umowy na scenariusz, tak, jak w przypadku „Niewinnych czarodziejów”? A i bez AI sporo uda się dokonać badaczowi w dziedzinie prozopografii, bo kręgi rodziny, bliskich przyjaciół, dobrych znajomych, kumpli, klientów mają w tym dzienniku czytelnie zakreślone granice (co nie znaczy, że nie udaje się ich przekraczać), fascynujące jest odtwarzanie kompozycji i dynamiki klanów: blisko są Matuszewscy i Kottowie, nieco obok filmowcy, Wajda i Romek Polański, Mycielski bliżej niż „Pawełek Hertz”, ale i ten nieporównanie wyżej niż „Jan Stefczyk” (Andrzejewskiemu nigdy nie przejdzie przez pióro nazwisko „Kopaliński”). Wirpszowie, Bocheńscy, *oczywiście* Irena Krzywicka, ks. Twardowski tolerowany jako nadworny kapelan. Z partyjnymi różnie: Staszewscy chętnie, Miecio Rakowski jako źródło plotek. Z ministrami z szacunkiem – ale Putrament zawsze trzymany na dystans. Alicja Lisiecka, Brandysowie, i znów Wajda, Józek Hen, Nowakowscy...

Wielki świat! I udręka. „Kolacja w SPATIF-ie”. Wino. Cocktail w «Czytelniku». Bristol, dzienny i nocny, PIW, Fukier, SPATiF, Bristol. Hybrydy czasem – socjograficznie (młodzież!). Czasem Largactil. Wino, wódka, piwo tylko jako ratunek the day after albo z żołnierzami nad Wisłą. Tyle w literaturze narzekań na upiorną nudę małomiasteczkowego deptaka, na koszmar zimowych wieczorów, kiedy można tylko sięść do preferansa z miejscowym aptekarzem, proboszczem i notariuszem – ale żaden z tych opisów nie był świadectwem takiej męki jak te zapiski pieszczocha losu, dla którego Krakowskie Przedmieście okazuje się być jałowe i szare jak krąg spacerniaka. „Znów Bristiger, potem Ważyk i Bocheński”. Potem znów spacerkiem i Bristol dzienny, potem nocny, tam Wajda, potem znów „cały dzień w łóżku”, a po południu do PIW-u i na Krakowskie. „O bogowie, o bogowie moi, trucizny, trucizny!”. (Nie, tego nie napisał: Rosjan czytał niewiele i chyba nie rozumiał, po herbatce u Słonimskich w sierpniu 1961 chwali Paustowskiego, że „jedyny (...) dochował jako Rosjanin wierności sztuce”, ale Bułhakowa nie przywołuje, chociaż przecież niejedną lekturę doradzał *Witek Woroszyłski*).

**Przeczytaj również: Niechciane wtajemniczenie – Wojciech Stanisławski o literaturze XXI wieku**

Przerywam, by nie dworować sobie więcej, bo zbyt o to łatwo. Prowokuje do żartów drastyczny kontrast w „Dzienniku...” między rzeczywistym stanem rzeczy, między statusem, również materialnym, ale przede wszystkim symbolicznym, jakim się cieszył, jakiego był świadom („przez wielu uważany [jestem – ws] za jej [Dąbrowskiej – ws] następcę w roli *sumienia narodu*” – 20 maja 1965), jakiego nie było mu dosyć, a skargami, którym bliżej do jójczenia niż do lamentu: na brak

środków, na zbyt rzadkie dodruki, na pokój w hotelu III kat. na Dolnym Śląsku czy na Mazurach, gdzie na spotkania z Pisarzem cisną się licealistki, bibliotekarki i notable.

Te skargi, owszem, nie nastrajają życzliwie. Zapadają w pamięć inne. Protektor autora „Pętli”, Marka Hłaski, zostawił Andrzejewski w swoich pamiętnikach zapis nałogu alkoholowego nie tyle zaskakujący, co porażający. I na pewno nie wymiarem ludycznym czy skandalizującym – w „Dzienniku...” znajdziemy tylko suche, buchalteryjne niemal zestawienia: „wino”; „dużo wina”; „wódka”; „od rana dużo piwa”, czasem okraszone równie rzeczowym „nie pamiętam, jak wróciłem” czy „niestety, film się urwał”. Nie chodzi więc o zapis *ludów*, które czasami zdarzają się po winie, a o zapis udręki: przymusu, od którego nie ma ucieczki. W tych wpisach dziennika, przynajmniej od końca lat 50. brak nawet tego, co fortunniejszym od Andrzejewskiego ludziom daje czasem alkohol: swady, dezynwoltury, rozbawienia, bodaj zapomnienia.

Być może to świadectwo mniej poruszałoby, gdyby zostało przetworzone literacko, wzbogacone o zapis sytuacji, przemyśleń, może anegdot. Z ostatniej dekady życia (lata 70., początek 80.) zachowały się jednak niemal wyłącznie zapiski jednozdaniowe, kalendarzykowe. I to, jaką rolę w tych *one-liners* odgrywają świadectwa o „winie od rana”, „butelce”, „głupio rozciętym czole”, konkurując ze zwięzłym odnotowywaniem śmierci bliskich, strajków na Wybrzeżu, „zamieszek w mieście” (3 maja 1982, ostatni zapis!), dramatycznych komplikacji życia dzieci – jest nawet bardziej wymowne niż słowa, które czat GPT wskazałby jako najczęściej występujące obok tych świadectw. „Znowu”. „Niestety”. „Znowu”. Tak, doczekaliśmy polskiego „Pod wulkanem”.

Jest w tym „Dzienniku” także udręka mocniejsza: opisywana czasem równie hasłowo co choroba alkoholowa, czasem rozczesywana na najdrobniejsze włókienka, stanowiąca dominantę dramatyczną następujących po sobie miesięcy: kolejne romanse homoseksualne Andrzejewskiego.

Nic to nowego, i za sprawą „wiedzy potocznej”, i kolejnych omówień biografii pisarza (w tym najbardziej szczegółowej, pióra Anny Synoradzkiej, zbyt skromnie zatytułowanej „Przyczynek do biografii prywatnej,” z 2016 roku). A jednak ta warstwa lektury zapisków dziennikowych przynosi, oprócz znużenia, nieco zakłopotania – nie intymnymi szczegółami jednak, a uderzającą stereotypowością tych związków, przedstawionych dokładnie tak, jak wyglądają w nieżyczliwych, upraszczających anegdotach; absolutną powtarzalnością sytuacji, schematu prowadzącego od zauroczenia, przez zdrady, po obojętność; wreszcie postawą Andrzejewskiego, którą trudno określić inaczej niż jako cyniczną. Głębię uczuć, którą demonstrował wobec swych pierwszych obiektów uczuć, zastępuje skrajne uprzedmiotawianie. Po kurortach, liceach i nadwiślańskich ścieżkach krąży niczym – pożyczmy na chwilę to słowo od dziennikarek, ze świętym oburzeniem opisujących współczesnych celebrytów w wieku średnim w rodzaju Leonarda di Caprio – *predator*, wypatrujący kolejnych łupów. Po czym – odnotowuje ich imiona w kalendarzyku ze skwapliwością prowincjonalnego donżuana: napastnika czwartoligowej drużyny, szansonisty w motelu, albo i niezapomnianego porucznika Lukasa który, jak pamiętamy ze „Szwejka...”, „miał album swoich kochanek i zbiór różnych relikwii”. Różne praktykowane bywają modele życia, w tym i oficerskie – ale *sumienie narodu*, które przy pomocy kaprawych krzyżyków prowadzi w notesiku buchalterię sukcesów

erotycznych mijającego tygodnia to świadectwo nie tylko mocnego nieuporządkowania, ale i uderzającej niespójności życia. Jak mówią: albo-albo.

Nieuporządkowania, i znów: udręki, to zdecydowanie słowo-klucz do „Dziennika...”. Oczywiście, można by stwierdzić, że ta udręka była po prostu konsekwencją podejmowanych wyborów, że zaciągnięcie do hotelu kat. III licealistów nie ma szans uratować przed „osamotnieniem i nadmiarem *pustego czasu*” (5 stycznia 1982) – ale nie tylko w tym rzecz. Autor najciekawszego omówienia „Dziennika...” prof. Wojciech Śmieja (miał wszelkie dane do jego napisania, jako badacz „ekspresji płci kulturowych”, autor historii polskiej męskości w XX wieku, czyli „Po męstwie” z 2024 roku) twierdzi, że mamy do czynienia „z jednym z najradykałniejszych tekstów, jakie powstały w polskiej literaturze minionego stulecia”. Sięga też po termin wzięty z Lacana – i ogłasza „Dziennik...” zapisem ekstymnym: ekstymność ma być przeciwieństwem intymności, ujawnieniem prywatnych, intymnych a niemożliwych do zaakceptowania treści.

Nie odwołując się bynajmniej do lacanowskiej antropologii, zgadzam się z uznaniem „Dziennika...” za tekst radykalny i podejmuję termin „ekstymność”, patrząc na dziesiątki *stickersów*, którymi zaznaczałem w książce mocne zdania, patrząc na frekwencyjne zestawienia gniewnych słów Andrzejewskiego. „Wstyd”. „Kłęska”. „Upadek”. „Rozpacz”. „Pusta ruina z zamierającym mózgiem”, podsumowuje siebie (na yeatsowską nieco nutę) w sierpniu 1961 roku, na 22 lata przed śmiercią. Jego doświadczenie niespełnienia, daremności, samo-odrazy okazuje się kluczowe, ważniejsze niż nieumiarkowane ambicje i pychy. Pijacka przyspiewka „Ja chcę mieć tiarę / tiarę, tiarę, tiarę...”, którą zdradził Miłosz, szkicując portret Alfya, stawanie obok Szekspira (wypatrzone

przez Horubałę w rozmowie w „Hańbie domowej”; w „Dzienniku..” podobnych porównań nie ma), przekonanie o należnym mu Noblu, pisanie o sobie per „my, intelektualiści polscy”, podniosłość i patos w co drugim zdaniu – to wszystko, tak kiedyś irytujące, okazuje się nawet nie śmieszne: jest tylko podszewką jego udręki.

Czy jej źródłem było tylko maniakalne nieledwie przywiązanie do wizji siebie jako Wielkiego Pisarza – i niemożność tej wizji zrealizowania? Czy raczej patologiczna potrzeba uznania, powszechnego i nielimitowanego? („Najbardziej potrzebuję adoracji” – 15 luty 1959; „Coraz gruntowniej sobie uświadamiam, jak wiele jest we mnie z ucznia (...) spragnionego uznania, pochwał i najwyższych not” – 4 października 1967)? Tego nie wiem. Z zapisków z jesieni 1967 dowiadujemy się o praktyce bardziej dziś bulwersującej niż wszystkie szczegóły romansów hotelowych: podczas pobytu na „oddziale psychosomatycznym” (psychiatrycznym) Szpitala Wolskiego Andrzejewski uzyskał dostęp do dokumentacji medycznej pacjenta, na kanwie monologów którego powstała „Apelacja”. Cóż, RODO nie było; był za to Wielki Pisarz ze szlachetną siwizną, wyrzucający sobie, że nie podejmuje rozmów z lekarzami, których musi onieśmielać jego osoba... Ciekawe, czy kiedyś znajdzie się biografista, który zaryzykuje odnalezienie dokumentacji medycznej Andrzejewskiego – i czy czegoś się z niej dowie.

Dopóki to się nie stanie, sędzę, że za daleko idzie Wojciech Śmieja, zestawiając „Dziennik...” Andrzejewskiego z tym, „co w tym samym czasie robią wiedeńscy akcjonisci: Hermann Nitsch, Günter Brus, Otto Muehl czy Rudolf Schwarzkogel. Ich performanse, w których ciało, jego wydzielinę, zadawanie mu bólu, przekraczanie seksualnych tabu stają się środkami wyrazu artystycznego w zderzeniu z normami

mieszczkańskimi, kulturą wysoką i oficjalną, wydają się całkiem dobrze korespondować z tym, o czym pisze Andrzejewski”. Nie dostrzegam bowiem u pisarza intencji i woli „zderzenia się z normami mieszczańskimi”, jego „ekstymność” zaprzęgam do innego rydwanu: widzę udręczonego sobą *predatora*, uzależnionego od wódki i adoracji, świadomego, że nie napisze już noblowskiej powieści: sunącego w wyobrażonej, wymarzonej tiarze po Krakowskim Przedmieściu, które jest dlań jak spaceriak, pełen nudnych i brutalnych współtowarzyszy niedoli.

„Jednym strzałem skończyło się całe polowanie” – napisał Thomas Merton w „Elegii na śmierć Ernesta Hemingwaya”. Polowanie, oczywiście, na „mężną iluzję: awanturnicze ja”.

Andrzejewski nie dostał *strzału na komorę*: dzwon bił mu wolno, po spacerniku Krakowskiego przyszło krążyć przez dekady. „Dziennik...” okazuje się najmocniejszym chyba w literaturze polskiej świadectwem końca nie tyle może męźnej, co sztubackiej iluzji: że można postanowić sobie, iż zostanie się Wielkim Pisarzem – i nim zostać.

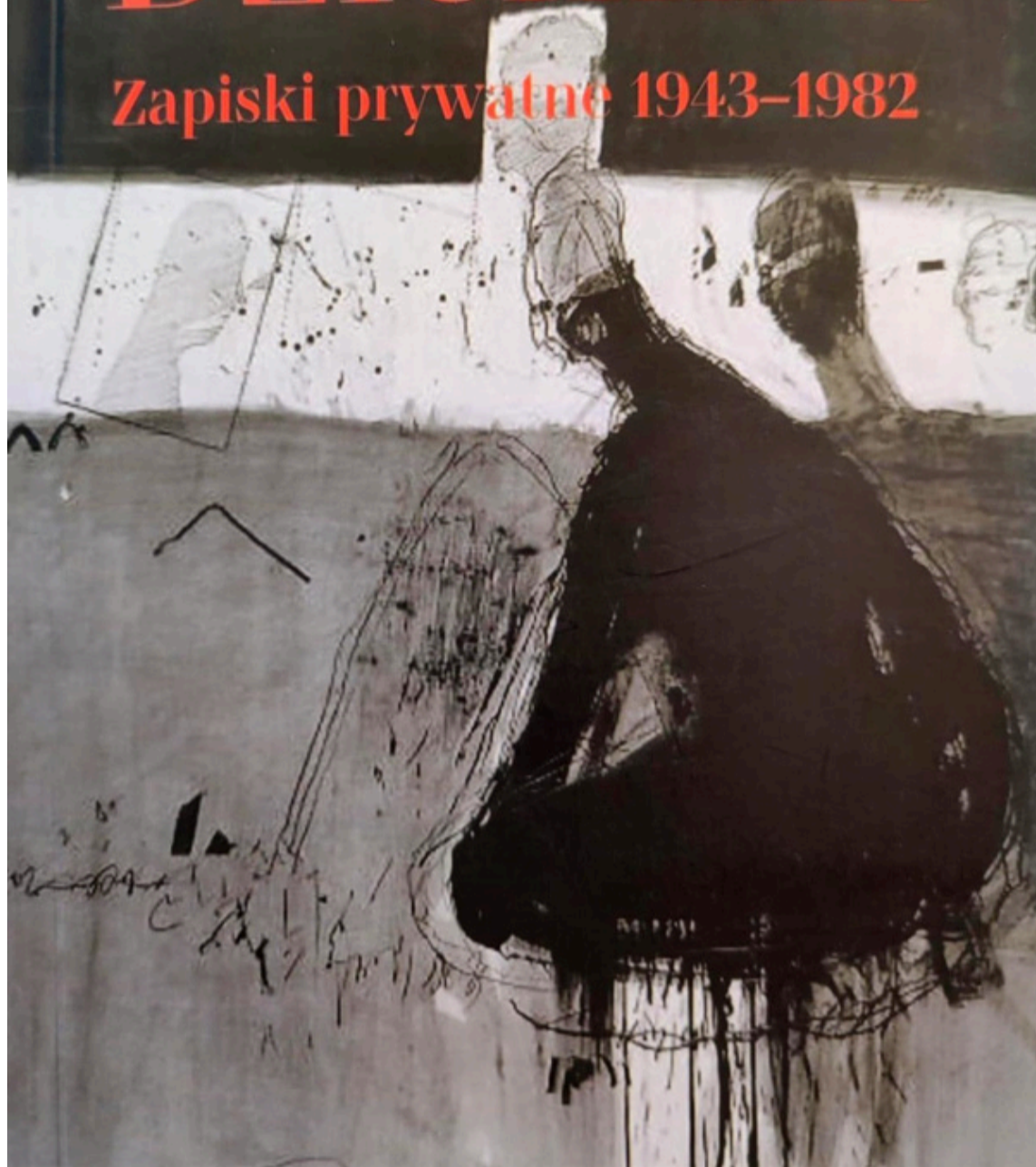
*Wojciech Stanisławski*



Jerzy Andrzejewski

# Dziennik

Zapiski prywatne 1943-1982



**Jerzy Andrzejewski, „Dziennik. Zapiski prywatne 1943-1982”,  
opracowanie i wstęp Anna Synoradzka. Instytut Mikołowski im.  
Rafała Wojaczka, Mikołów, 2025 [2024]**

\*\*\*

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „**Czytelnia  
publiczna**” ukazują się co dwa tygodnie.

► **Przeczytaj wcześniejsze**

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---